

Newsweek HISTORIA

ANDRZEJ WAJDA W ZBLIŻENIU

MIAŁ NOSA DO ARTYSTY

Przyjaźnił się z osobami, z którymi pracował. Kiedy projekt się kończył, byli odsuwani na dalszy plan, co wielu odczuwało jako odrzucenie – o Andrzeju Wajdzie opowiada scenarzysta **MACIEJ KARPIŃSKI**

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

TÓW

Andrzej Wajda podczas
zjęć do filmu „Ziemia
obiecana”, 1974 r.

FOT. ANDRZEJ ZBRANIECKI/PAP

NEWSWEEK: Jaki był Andrzej Wajda?

MACIEJ KARPIŃSKI: Uparcie dążył do celu. Bez tego nie stworzyłby tylu ważnych filmów i spektakli. W życiu codziennym też bywał uparty. Przez lata za żadne skarby nie chciał zmienić samochodu, niemal rozpadającego się bmw, choć wszyscy go do tego nakłaniali. Lubił prowadzić to auto, nawet jak już szwankowało jego zdrowie.

Z drugiej strony nie czuł potrzeby ukrywania niepewności. Miał taki charakterystyczny gest pocierania twarzy dłońmi, kiedy potrzebował czasu na zastanowienie się. Chętnie słuchał innych, ale decyzje zawsze podejmował sam.

Był towarzyski?

– To nie był typ rozweselacza towarzystwa. Znam wielu reżyserów, którzy śpią historiami z planów swoich filmów. On nigdy! Wajda był niezdolny do prowadzenia small talków, dlatego nie znosił bankietów. Miał poczucie humoru, ale nie opowiadał ani nie słuchał dowcipów czy plotek. Myślę, że największe imprezy, nawet z gwiazdami Hollywood, nie stanowiły dla niego atrakcji. Wolał usiąść przy stole w gronie przyjaciół.

Z racji swojej międzynarodowej pozycji mnóstwo podróżował.

– Ale nie miał z tego wielkiej przyjemności. Nie miał potrzeby poznania miejsca, w którym się znalazł. Smak kuchni, wizyta w lokalnej kawiarni, na targu, obserwowanie codziennego życia... jego to nie interesowało. Nie zwiedzał zabytków, muzeów, raczej wybierał poszczególne wystawy. Lubił za to spotkania z publicznością. Był zapraszany do najlepszych restauracji na świecie, ale tego nie doceniał; mógł iść do pierwszej lepszej z brzegu, nie robiło mu to różnicy. Tę cechę dzielił z Krystyną Zachwatowicz.

Jaką tworzyli parę?

– Pani Krystyna pojawiła się w życiu pana Andrzeja dość późno, był już po trzech małżeństwach, miał córkę ze związku z Beatą Tyszkiewicz. Otaczał go wianuszek wielbicieli i patrzących na niego chętnym okiem aktorek. Krystyna Zachwatowicz wniosła porządek i spokój. Zorganizowała mu życie i widziałem wyraźną ulgę, że nie musiał się martwić o swój kalendarz. Jak ktoś miał się z nim umówić, pytał: „Krysiu, co ja wtedy robię?”. I natychmiast była odpowiedź.

Gdy go pan poznał na początku lat 70., był rasowym dandysem.

– Jego znakiem firmowym był kozuch – marzenie każdego początkującego filmowca. Potem bywaliśmy razem w wielu miastach świata, ale nigdy nie widziałem, żeby stanął przy wystawie sklepowej, zwrócił uwagę na jakiś krawat czy garnitur. Nie jest tajemnicą, że to żona załatwiała za niego takie sprawy.

Ale z biegiem czasu ta organizacja życia posuwała się do coraz większej kontroli, nawet swego rodzaju uzależnienia. Pani Krystyna decydowała przez lata, kto ma dostęp do Wajdy. Dla niego to w jakimś sensie było wygodne, pozwalało nie tracić czasu na drobiazgi.

Pamiętam, że kiedyś podczas pobytu w Nowym Jorku gospodarze stawali na rzesach, żeby pokazać miasto z jak najlepszej strony. Zabrali nas do Greenwich Village, centrum świata

artystycznej i obyczajowej awangardy. Pani Krystyna tylko wzruszyła ramionami: w Krakowie jest tak samo. I to ich łączyło: Kraków i Polska były dla nich centrum świata, punktem odniesienia. To, co mu było potrzebne, znajdował tutaj. Nie musiał szukać po świecie. Choć wszystkie honory chętnie przyjmował. Był w tym nieco próżny jak dziecko.

Prowadzili dom otwarty?

– To zależało. Kiedy Wajda miał z kimś sprawę do omówienia, najczęściej wolał, żeby spotkanie odbyło się u niego. To w domu na Żoliborzu zbierali się w latach 70. regularnie na rozmowy członkowie zespołu X: Agnieszka Holland, Janusz Zaorski, Feliks Falk.

Jednak były sytuacje, kiedy wolał się wymknąć z domu. Nie przepadał za alkoholem, ale lubił napić się od czasu do czasu dobrej whisky. Kiedy już pani Krystyna nie pozwalała mu na to ze względu na zdrowie, dzwonił do mnie, że ma sprawę i czy może wpaść. Nasze domy dzieli niecałe 100 metrów. Wiedziałem, co to oznacza, szykowałem szklaneczki i wyciągałem butelkę. Zawsze było coś do omówienia: książka, film. To były dość chłopięce podchody. Pani Krystyna wiedziała, o co chodzi. Dawała mu kilka kwadransów, po czym telefonowała, a on niezmiennie odpowiadał: już właśnie wychodzę.

Skąd ta legendarna nieufność Wajdy do scenarzystów?

– Pan Andrzej prawie nigdy nie był zadowolony z tekstu, który mu przedkładano. Najczęściej przerabiał, dawał innym do poprawy, czasami kręcił wręcz bez scenariusza, jak „Ziemię obiecaną”. Był wizjonerem i chciał od razu widzieć film. A bardzo rzadko to, co było napisane, wchodziło w reakcję z tym, co widział oczami duszy.

Pan tego też doświadczył?

– Oczywiście. Wielu pisało scenariusze dla niego, wkładaliśmy w to całe serce, a Wajda nie dość że je odrzucał, to najczęściej nawet nie podejmował dyskusji. Bywało, że pracował jednocześnie z kilkoma scenarzystami nad tym samym tematem.

Kiedy tego pierwszy raz doświadczyłem jeszcze na początku lat 70., poczułem zawód, ale poznawszy głębiej pana Andrzeja, zrozumiałem, że nie wypływa to z jakiejś złośliwości czy niedocenia kogoś, tylko z jego natury.

Salon zawiedzionych odrzuconych musiał być dosyć liczny.

– To dotyczyło także aktorów, którzy kiedyś u niego grywali i potem nagle zostawali zapomniani. Wszyscy mieliśmy syndrom porzuconej kochanki, która na skinienie ukochanego była gotowa zapomnieć krzywdy i wrócić. Pan Andrzej miał taki magnetyzm, że jak po jakimś czasie składał kolejną propozycję, to już nikt się nie dąsał.

Jak Janusz Głowacki?

– W 1969 r. zrealizował według jego tekstu „Polowanie na muchy”, o którym to filmie potem nie wyrażał się najlepiej. Głowacki był obrażony latami. Aż Roman Polański zasugerował go jako scenarzystę filmu o Lechu Wałęsie, co było kompletnym nieporozumieniem, bo z góry można było powiedzieć, że Wajda myśli o czymś wzniosłym i poważnym, a Głowacki będzie szedł w stronę satyry. Ale zabrał się ochoczo do pracy, zapominając wszystkie żale. Co zakończyło się kolejną awanturą.

Pan Andrzej przyjaźnił się z osobami, z którymi pracował. Kiedy się kończył projekt, byli odsuwani na dalszy plan, co wielu odczuwało jako odrzucenie. My byliśmy sąsiadami, nawet jak nie pracowaliśmy, spotykaliśmy się regularnie i podtrzymywaliśmy przyjaźń.

Był Wajda prywatny i publiczny?

– Obecność widowni, kamer uruchamiała mechanizm aktorski. Miewał momenty, kiedy chciał stworzyć postać „reżysera”. Najczęściej to widziałem w teatrze, kiedy np. przychodzili studenci, żeby oglądać próbę z Wajdą. Wtedy on, zwykle bardzo powściągliwy na próbach, nagle się szalenie ożywił, wybiegał na scenę, przesuwał meble. Grał Andrzeja Wajdę i robił to pięknie. Obserwowałem go też wielokrotnie na premierach jego sztuk czy filmów. Na ogół były przyjmowane owacyjnie. A on wbiegał wtedy na scenę czy przed ekran kinowy i po drodze wkładał marynarkę. Miało wyglądać, że jest zupełnie nieprzygotowany na taką reakcję.

W swojej książce „Pan Andrzej.

Portret z pamięci” pisze pan,

że był człowiekiem staroświeckim.

Co to znaczy?

– Staroświecka była dyskrecja na tematy prywatne. O jego wcześniejszych małżeństwach wiem wyłącznie na podstawie jego książek czy wywiadów. Nigdy o pani Tyszkiewicz ani poprzednich żonach nie wspominał. W twórczości omijał tematy erotyczne. Odnosiłem wrażenie, jakby ta tematyka go krępowała.

Nie wciągnął go też współczesny świat technologii, nigdy nie miał telefonu komórkowego, nie używał komputera, pisał ręcznie, piórem ze złotą stalówką. W korespondencji używał przedwojennych sformułowań grzecznościowych. Ale z drugiej strony był głodny energii od świata, młodych ludzi, nowych rozwiązań.

Andrzej Korzyński kiedyś mi opowiadał, że Wajda do sceny otwierającej „Człowieka z marmuru”, kiedy Krystyna Janda idzie przez korytarze TVP, poprosił go o dynamiczną, energetyczną muzykę. Korzyński, który miał wtedy zespół



OBECNOŚĆ WIDOWNI,
KAMER URUCHAMIAŁA
W NIM MECHANIZM
AKTORSKI. MIEWAŁ
MOMENTY, KIEDY
CHCIAŁ STWORZYĆ
POSTAĆ „REŻYSERA”.
GRAŁ ANDRZEJA
WAJDĘ

MACIEJ KARPIŃSKI



Arp Life grający nowoczesny funk, zaproponował jedną z kompozycji i została zaakceptowana.

– No właśnie, a przecież Wajda nie słuchał takiej muzyki, nawiasem mówiąc, był niezbyt czuły na muzykę. Jerzy Gruza kiedyś powiedział fantastyczne zdanie: „Aby otrzymać dzieło sztuki, należy wynająć artystę”. Wajda był wierny tej zasadzie. On wiedział, kogo wynająć, miał nosa do artystów.

Miał dystans do siebie?

– Umiarkowany, ale kiedy dowiedział się, że Marek Kondrat dzwonił do kolegów aktorów i naśladował timbr jego głosu, proponował im role, nie obrażał się. Nawet go to bawiło.

Przez lata był szefem Stowarzyszenia Filmowców Polskich, reprezentantem środowiska wobec władz PRL. Jakim był taktykiem?

– W odróżnieniu od większości reżyserów swego pokolenia nie był członkiem PZPR. Miał świadomość, że jego pozycja międzynarodowa daje mu pewnego rodzaju ochronę. Zawsze podkreślał, że z władzą trzeba rozmawiać. Często wykorzystywał to, że urzędnikom imponowały uprzejme listy światowej rangi reżysera. Powtarzał: uprzejmość nic mnie nie kosztuje.

Jednocześnie nie namawiał młodych reżyserów do autocenzury. Wręcz przeciwnie, uważał, że filmy powinny być maksymalnie ostre politycznie. Zachęcał wręcz, żeby umieścić w filmie pewne elementy, o których wiedzieliśmy z góry, że nie mogą przejść przez cenzurę, albo są nawet zbędne dla fabuły, za to odwracały uwagę od spraw naprawdę istotnych. Cenzorzy wyłapywali oczywiste aluzje, przepuszczając rzeczy dużo groźniejsze, ale mniej rzucające się w oczy.

Drugą radą było chronić wycięte sceny. Taśmę z usuniętymi przez cenzurę fragmentami z „Kobiety samotnej” Agnieszki Holland trzymał w swoim domu i po latach zostały one włączone do pełnej wersji filmu.

Jaką lekcję pan odebrał z tamtych czasów?

– Jak cenzura coś zatrzyma, to nie obrażać się, tylko robić kolejny film, pisać nowy scenariusz. A po drugie, mieć szuflady pełne nowych pomysłów, żeby jak system coś utrudnia, to odpuścić i zaczynać coś innego.

Powtarzał młodym twórcom: nie przeżywaj za długo porażki, bo to wyniszcza i zniechęca. Idź dalej. Wiedział, co mówi. Na „Człowieka z marmuru” czekał 12 lat. Po drodze zrobił „Wesele”, „Brzezinę” czy „Ziemię obiecaną”.

Pisze pan, że od pewnego momentu czuł się samotny.

– Najlepiej czuł się, pracując z aktorami, którzy sami dużo proponują, stawiają jakiś opór jego pomysłom. Jan Nowicki powiedział kiedyś, że nauczy się tekstu, jak Wajda nauczy się reżyserować. Wiele zawdzięczał współpracy z Danielem Olbrychskim czy Jerzym Radziwiłowiczem. W późniejszych jego filmach, kiedy obsadzał młodszych aktorów, ci już nie rozumieli metody Wajdy, który miał status legendy. Onieśmieleni, często oczekiwali od niego konkretnych uwag, analizy postaci... Konstantinos Kawafis powiada, że artyści „wysoko są wyniesieni ponad pospolity świat”. Rzecz jasna najbardziej to dotyczy artystów wielkich, jak Andrzej Wajda. A tam wysoko jest samotnie.

Jak dawał sobie radę, pracując za granicą bez znajomości języków?

– To był rodzaj blokady psychicznej. Jedyнным językiem, z którego do końca życia pamiętał pewne słowa i potrafił sklecić zdanie, był serbski. Pewnie dlatego, że w młodości pracował w Jugosławii nad filmem „Powiatowa Lady Makbet”. Latami próbował się nauczyć angielskiego, brał lekcje, ale nic z tego nie wyszło.

Pani Krystyna mówi biegle po francusku, ale już nie po angielsku, co stanowiło wielki problem, bo świat filmu jest angielskojęzyczny. Ja byłem stałym tłumaczem pana Andrzeja na zagranicznych festiwalach, podczas prób spektakli, prywatnych spotkań. Jak wtedy, kiedy na prywatną kolację w Nowym Jorku zaprosił go Martin Scorsese. Panowie toczyli bardzo ożywione rozmowy, pełne humoru, jakby się znali od lat. To była dla mnie ciężka robota.

Tak po ludzku mu to przeszkadzało?

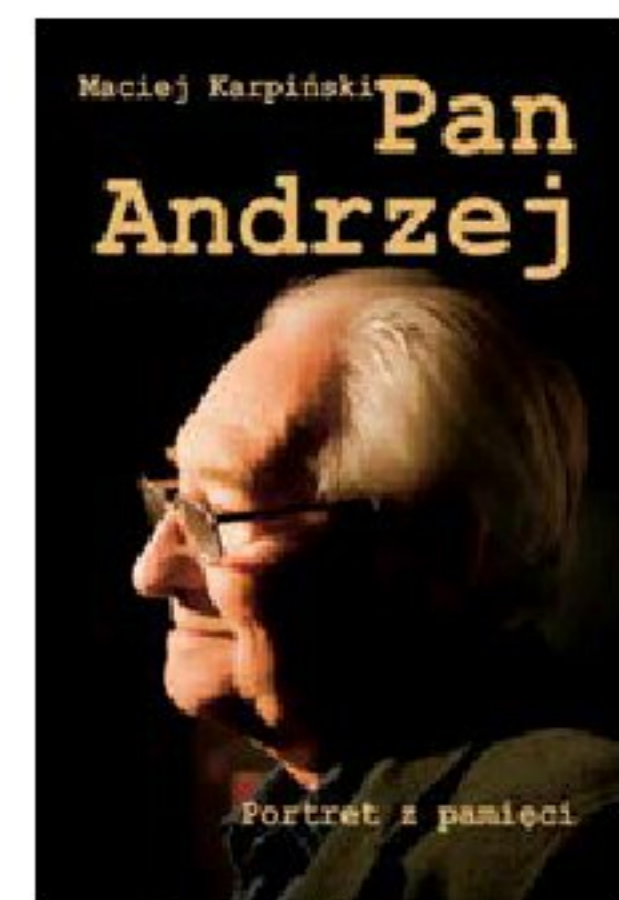
– Niespecjalnie. Bo on nigdy nie chciał czegoś załatwić w obcym języku. To światu zależało na kontakcie z nim.

Miał życie poza sztuką, filmem, teatrem?

– Niewiele. Jak nie robił filmów, to myślał o nich, czytał, szukał. A jak i tego nie robił, to rysował, ciągle miał przy sobie notes. Wajda miał prostą metodę: pracował nad jednym projektem, planował drugi, a myślał już o trzecim. Należał do tych twórców, dla których praca była sensem i napędem do życia. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

MACIEJ KARPIŃSKI JEST PROZAIKIEM, DRAMATURGIEM, SCENARZYSTĄ, TŁUMACZEM POEZJI LEONARDA COHENA. ASYSTENTEM ANDRZEJA WAJDY NA PRZEŁOMIE LAT 70. I 80., JEGO DŁUGOLETNIM WSPÓLPRACOWNIKIEM. WSPÓLAUTOREM SCENARIUSZY DO „PIERŚCIONKA Z ORŁEM W KORONIE” I „NASTAZJI”. AUTOREM DWÓCH KSIĄŻEK O TWÓRCZOŚCI WAJDY: „DOSTOJEWSKI – TEATR SUMIENIA” I „TEATR ANDRZEJA WAJDY”. NIEDAWNO WYDAŁ KSIĄŻKĘ „PAN ANDRZEJ. PORTRET Z PAMIĘCI” (KSIĄŻKA I WIEDZA)



Newsweek POLECA



Najnowszy numer „Newsweeka Historii” już do kupienia, a w nim m.in.:

- Jak Stalin przechrzył wszystkich i został następcą Lenina?
- Władysław Reymont – niedoszły aktor, kolejarz, spirytysta i obieżyświat, który bał się rewolucji
- Grigorij Kotowski: czerwony Robin Hood i druga radziecka mumia z własnym mauzoleum
- Jak czytać średniowieczne kroniki